



3 Wywiad z Maksem Skicą, przewodniczącym samorządu szkolnego

- Jestem wioślarzem, całkiem sporo trenujemy i generalnie osiągam w tym jakieś sukcesy – mówi Maks Skica. - Zajmuję się też programowaniem, pewnie większość Czytelników miała styczność z jakąś moją webapką, niektóre nawet są całkiem przydatne nie tylko dla mnie.

5 Nastoletni poeci kontra reszta świata

Czy w XXI wieku ktoś taki jak poeta może znaleźć swoje miejsce na świecie? Jak najbardziej – udowodniły to niedawno Alicja Musiał (klasa 2 B) oraz Emilia Rynkiewicz (klasa 2 A), zdobywając pierwsze miejsce oraz wyróżnienie w konkursie „Młody Poeta Dolnego Śląska”. Jak to jest pisać wiersze? Co może to dać człowiekowi? Czy jesteśmy świadkami narodzin nowej epoki? Więcej o tym w wywiadzie z laureatkami.

7 Chcesz mieć własną stronę?

Wix, Blogger czy inne podobne rozwiązania to zazwyczaj beznadziejny pomysł na serwowanie personalnej strony. Nawet Wordpress się nie nada, chociaż radzi sobie jako szkolny CMS. Błyskawicznie doświadczysz przerostu formy nad treścią, bez dłuższego przełączania ustawień witryna nie będzie wyglądać zbyt profesjonalnie (nie każdy ma własnego Łukasza Świszcza), dosyć wolno będzie się ładować, a jeśli nie chcesz utrzymywać serwera (nie chcesz!), to zazwyczaj na deser będzie cię to kosztować masę pieniędzy. Pieniądzy, których nie masz.

10 Osobliwe paradoksy u pani Peregrine

Najpierw była Narnia i zwyczajne dzieci z Anglii. Później nastoletni czarodziej i Hogwart. Potem pojawili się młodzi herosi z USA z Percym Jacksonem na czele. Dalej... no cóż, wilkołaki i wampiry. A w 2011 roku na scenę wkroczył debiutujący pisarz, Ransom Riggs, który przedstawił nastoletnim czytelnikom kolejną, fantastyczną frakcję – osobliwych. „Osobliwy Dom pani Peregrine”, pierwsza część trylogii Riggsa, w 2016 roku doczekała się adaptacji w reżyserii Tima Burtona. Dlaczego o tym piszę? Przecież to było tak dawno... No tak, było dawno. Ale filmowe rany, nawet te najdawniejsze, niezabliźnione bołą najbardziej.

20 Pożegnaliśmy geniusza

Większość osób zapytanych o to, kto jest największym gitarzystą wszechczasów odpowiedziałoby bez większego wahania – Jimi Hendrix. Człowiek, który zupełnie zrewolucjonizował świat bluesa i rocka. Nikt nie miał tak dużego wpływu na gitarę elektryczną... z wyjątkiem może jednej osoby. Osoby, która 6 października przegrała walkę z rakiem.

Wywiad z Maksym Skicą - Przewodniczącym Samorządu Szkolnego

NADINE PFLUEGER:

- Opowiedz nam na początek o swoich zainteresowaniach. Jaki jest Twój ulubiony przedmiot szkolny i dlaczego?

MAKS SKICA:

- Jestem wioślarzem, całkiem sporo trenujemy i generalnie osiągam w tym jakieś sukcesy. Zajmuję się też programowaniem, pewnie większość Czytelników miała styczność z jakąś moją webapką, niektóre nawet są całkiem przydatne nie tylko dla mnie. Podczas kampanii chwaliłem się też tytułem finalisty Olimpiady Przedsiębiorczości, więc także tematy finansowo-biznesowe są mi całkiem bliskie. Kupowałem akcje Tesli, zanim to było modne. Jeśli chodzi o ulubiony przedmiot szkolny to były chyba podstawy przedsiębiorczości. Szczerze mówiąc, myślę, że to jeden z bardziej życiowych przedmiotów w polskiej szkole, ale niestety nie cała podstawa programowa jest trafiona. Teraz już ich nie mam, za to bardzo lubię uczyć się o rozbiću dzielnicowym na HiS-ie.

Co skłoniło Cię do objęcia funkcji przewodniczącego? Kiedy zrodził się pomysł wystartowania w rywalizacji?

- Głód i... Emilia Rynkiewicz. Kiedy Gaspar powiedział mi, że już nie ma ochoty startować, coś tam wspomniałem, że następny przewodniczący musi załatwić sprawę braku dostępu do ciepłego jedzenia w szkole. Ja to bardzo odczuwam, bo rano często mam wioślarskie treningi i moje zapotrzebowanie to jakieś 4000 kcal. Wtedy Emilka zaczęła mnie męczyć, że koniecznie muszę wystartować, żeby było jej raźniej. Jak widać, jest w tym całkiem skuteczna.

Jak wyglądała Twoja kampania wyborcza?

- Chyba każdy zdążył to zauważyć. Rozwiesiłem trochę plakatów (zrobiłem je w GIMP-ie) z racjonalnymi hasłami, dotyczącymi zmian w szkolnych bluzach czy rozwiązaniu problemu gastronomicznego. Potem się okazało, że nie wystarczy ich tak jednorazowo rozkleić - z dnia na dzień kilkadziesiąt plakatów musiałem doklejać, bo anonimowi sprawcy je zrywali. Podobne dylematy mieli zresztą niektórzy inni kandydaci. Tak na marginesie, to chyba nie za dobrze świadczy o uczniach elitarnego szkoły, niezależnie od ich stosunków do nas. Debata była tylko wisienką na torcie.

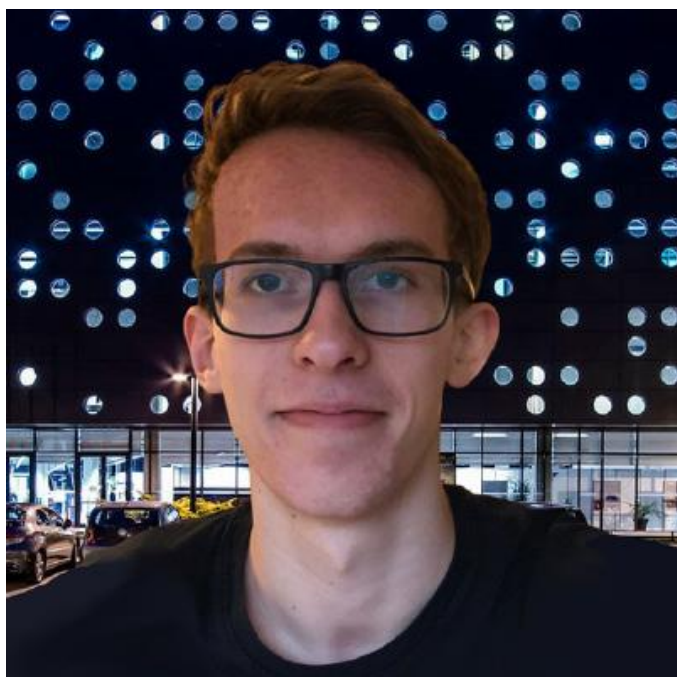
Jak długo trwało tworzenie programu wyborczego?

- Nie miałem jakiegoś konkretnego planu. Hasła na plakatach powstawały w czasie rzeczywistym drukowania, a tekst debатовego orędzia napisałem wieczorem przed wyborami, bo trochę o tym zapomniałem. Mimo tego wydaje mi się, że debata wypadła całkiem dobrze.

Co zamierzasz zmienić w szkole? Czy masz już jakiś konkretny plan działania na najbliższy czas?

- Kupujemy bezwartościowe żarcie z automatu, chodzimy w bluzach z przeciętnym designem. Na tyle, na ile rola przewodniczącego samorządu mi pozwala, zamierzam zaadresować te problemy. Z ostatniej chwili padł też pomysł prośby do Rady Rodziców o zmianę kart podarunkowych do Empiku dla uczniów na karty do Allegro albo Bonito, bo tam jest taniej.

To takie drobne zmiany, ale jestem przekonany, że ułatwią nam codzienne funkcjonowanie i przyjemniej będzie się wracać do domu. Ze względu na zdalne nauczanie pracujemy nad usprawnieniem organizacji działań, będziemy przygotowywać w tej sprawie rekomendację dla pani dyrektor. Emilia tworzy też grupę dla samorządów klasowych.



Czy według Ciebie funkcja, którą objąłeś, jest ważna i dlaczego? Jakie są Twoje obowiązki?

- Funkcja przewodniczącego samorządu uczniowskiego jest na pewno ważniejsza niż rola szarego, przeciętnego ucznia, ale czy jakaś superistotna? Nie sądzę. To dla mnie narzędzie do wprowadzania zmian i ułatwiania szkolnego życia sobie i innym, bo tym w istocie jest. Na razie nie ma żadnych spotkań samorządu, mam nadzieję, że tak zostanie, ale jestem w bliskim kontakcie z innymi członkami. Do obowiązków należy na pewno dialog z uczniami, podpisywanie Wam rekomendacji do niektórych stypendiów i organizowanie kilku akcji, ale to nie jest nic wymagającego. Szczególnie z moimi uzdolnionymi współpracownikami.

Czy będziesz pełnił swoją funkcję z przyjemnością? Co Cię najbardziej cieszy?

- Właściwie to całe moje życie przeżywam z przyjemnością. Jakby było inaczej, to nie sądzę, żebym miał ochotę startować. Najbardziej cieszy mnie to, że rozwiązując problemy społeczności szkolnej, jednocześnie będę rozwiązywać swoje. Kto wie, może przestanę być... głodny?

Jak sądzisz, dlaczego to właśnie Ciebie wybrano?

- O to musiałabyś zapytać samych wyborców. Dostałem dużo gratulacji, że byłem najlepiej merytorycznie przygotowany do debaty. Emilka powiedziała, że dobrze wypadłem, ale myślę, że mój przekaz był po prostu autentyczny. To jest podstawa i myślę, że niektórym kandydatom się to nie udało, przynajmniej do mnie nie przemówili.

Czy jako przewodniczący jesteś inaczej traktowany w szkole przez nauczycieli lub uczniów?

- Oj, zdecydowanie. Nasze kochane pierwszaki zaczęły się ze mną witać na korytarzu, nie za bardzo wypada mi już wciskać się do pełnej windy albo chodzić bez maseczki. W dniu debaty dostałem tonę zaproszeń do znajomych na FB, spieszyłem się wtedy też na trening i udało mi się wcisnąć w kolejce do szatni, to było bardzo użyteczne. Niektórzy pewnie myślą, że jestem jakoś specjalnie traktowany i nie muszę w ogóle się uczyć, ale nie tak to wygląda. Dostałem bardzo dużo gratulacji od nauczycieli (nawet SMS-owych <3), z wieloma owocnie dyskutowałem też o planowanych zmianach, więc myślę, że będzie nam się dobrze pracować, WZO będzie elastyczne. Myślę też, że łatwiej mógłbym umówić spotkanie z panią dyrektorem, to chyba jedyny osobowy przywilej członka samorządu. Mam też dostęp do boksu. Czy tylko z tych powodów warto startować? Raczej nie.

Chciałbyś dodać jeszcze coś od siebie?

- Hmm... Na wyrazy uznania zasłużyła nasza ekipa techniczna na debacie pod wodzą Łukasza Świszcza. Wszyscy widzieliśmy, jak profesjonalnie zostało to zrealizowane. Gaspar w roli prowadzącego też świetnie się spisał, ja na jego miejscu na pewno nie byłbym płynny. Cieszę się, że w samorządzie będę współpracować z tak elitarnymi, dojrzałymi i uzdolnionymi ludźmi jak Emilia, Said i Michał. Nie mogę się też doczekać współpracy z p. Robertem Antoszkim, nowym opiekunem. Pamiętajcie - jesteśmy tu dla Was i chętnie wystuchamy, jak ulepszać tę szkołę.

NADINE PFLUEGER – 2 A

Nastoletni poeci kontra reszta świata

Czy w XXI wieku ktoś taki jak poeta może znaleźć swoje miejsce na świecie? Jak najbardziej – udowodniły to niedawno Alicja Musiał (klasa 2 B) oraz Emilia Rynkiewicz (klasa 2 A), zdobywając pierwsze miejsce oraz wyróżnienie w konkursie „Młody Poeta Dolnego Śląska”. Jak to jest pisać wiersze? Co może to dać człowiekowi? Czy jesteśmy świadkami narodzin nowej epoki? Więcej o tym w wywiadzie z laureatkami.

Od kiedy piszecie wiersze?

Alicja: - Tak naprawdę nie jestem w stanie wyznaczyć dokładnego momentu, kiedy zaczęłam pisać, ponieważ nie piszę regularnie. Poezja jest dla mnie jednym ze sposobów na wyrażenie emocji, szczególnie w trudnych momentach. Kiedy wszystko inne zawodzi, ubieram dylematy w słowa.

Emilia: - Wiersze piszę już od pierwszej klasy podstawówki. Gdy byłam mała, zobaczyłam w szkole ogłoszenie o konkursie poetyckim i stwierdziłam, że wezmę udział, bo przecież inni dają radę, więc ja też, wiadomo! Pisanie wierszy nie może być trudne, prawda? No to super. Usiadłam w domu i stwierdziłam, że może spróbuję swoich sił. Oczywiście były to raczej takie rymowanki typu: „Pewien pan w Krakowie miał swą żonę na głowie” albo „W Budapeszcie, pięknym mieście sprzedawano rybę w cieście”. Coś tego typu, takie emiliowe rzeczy. I od tego konkursu właśnie się zaczęło.

No tak, od czegoś trzeba zacząć. Jakie są Wasze największe osiągnięcia w poezji?

E.: - Cóż, nigdy wcześniej nie zostałam nagrodzona, poza tym konkursem w pierwszej klasie, kiedy to zajęłam czwarte miejsce. Oprócz tego, właśnie otrzymałam wyróżnienie. Ale nie piszę wierszy po to, żeby dostać nagrodę, bo często są one bardzo osobiste - nie kieruję się żadnymi toposami, motywami i innymi czynnikami, które czynią wiersz obiektywnie dobrym. Nie piszę pod publikę. Po prostu traktuję to jako pewnego rodzaju terapię. Gdy coś mi leży na sercu, to siadam, piszę o tym wiersz i od razu jest mi lepiej. Gdy z kolei go potem czytam, przypominam sobie, w jaki sposób przeszłam od punktu A do punktu B i poprawia mi się humor.

A.: - Wygrana w konkursie „Młody Poeta Dolnego Śląska” jest tak naprawdę jedynym moim osiągnięciem poetyckim, ponieważ wyjątkowo zdecydowałam się podzielić jednym ze swoich utworów i wysłałam go na konkurs. Nie spodziewałam się nawet wyróżnienia, więc wiadomość o zajęciu pierwszego miejsca była dla mnie wielką niespodzianką.

Nie chcę dorastać
Wiek wyniszcza
Złączone dłonie
Jedność i pewność
Kojący uścisk
Niosący bezpieczeństwo
Chętne usta
Gotowe na spotkanie
Zostają pieniądze
Szczęble kariery
Ludzi nie łączy uczucie
Lecz kredyt hipoteczny
Wy idźcie przed siebie
Ja tu pozostanę
(Człowiekiem)

Z czego czerpicie inspiracje do swoich utworów?

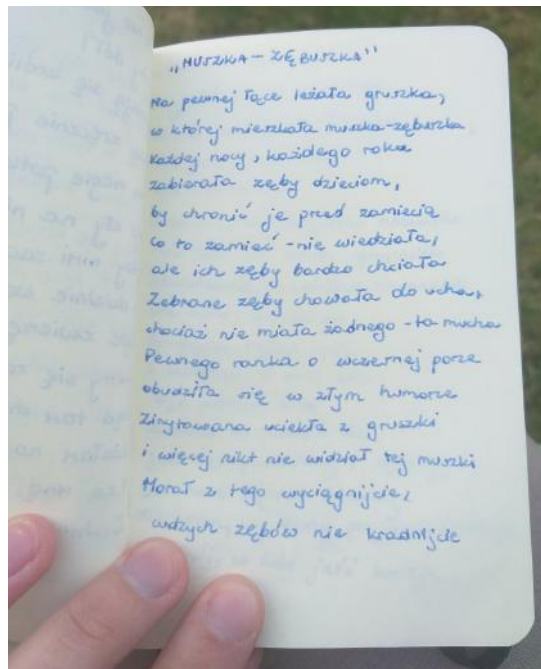
A.: - Tak jak wcześniej wspomniałam, głównym źródłem inspiracji są trudy życia codziennego lub wewnętrzne dylematy dotyczące świata i ogółu społeczeństwa.

E.: - Z życia. Albo z tego, co czuję, albo z tego, co przeżyłam. Ewentualnie z tego, co mnie otacza. Chyba jak każdy.

A jaka jest najdziwniejsza metafora, której użyłście w swoim wierszu?

E.: - Wiesz co, nie wiem, czy to dobry pomysł, żeby o tym mówić, bo to trochę inside joke'owe rzeczy (śmiejch). Powiedzmy, że, ekhem, motywy ptaszorów się tutaj idealnie wpasowują.

A.: - Najdziwniejszą metaforą było przedstawienie znaczenia cierpienia w życiu jako chwastów w ogrodzie - z pozoru niechcianych szkodników, jednak tak naprawdę wzbogacających glebę elementów natury.



Macie swój ulubiony, autorski wiersz?

A.: - Nie mam ulubionego wiersza. Nie jest ich wiele, ciężko więc wybrać jeden.

E.: - Nie mam jednego ulubionego, ale przy każdym utworze piszę, gdzie powstał i kiedy powstał. Te wiersze, które uważam za najcenniejsze, powstały w Sardynii latem zeszłego roku i ostatnio w marcu na kwarantannie.

Na kim się wzorujecie w swojej twórczości?

E.: - To nie jest tak, że jakiś poeta mi się spodobał i to od niego się zaczęło to pisanie moich wierszy. Ale w niektórych nawiązywałam do utworów Szymborskiej i podobają mi się również wiersze Mazgaja.

A.: - Zazwyczaj nie myślę o wzorcach, ponieważ poezja jest dla mnie głównie sposobem na przelanie tłumionych emocji, jednak wydaje mi się, że podświadomie wielką inspiracją jest dla mnie moja przyjaciółka, dla której poezja jest ogromną pasją. Ma ogromny talent i mimo swojego młodego wieku pisze małe arcydzieła.

Emilio, mówiłaś o nawiązywaniu do Szymborskiej. Rozumiem, że podejmujesz polemikę z innymi utworami?

E.: - Tak, ale to nawet nie musi być poezja. Lubię po prostu nawiązywać do różnych czynników. Jeśli nie są to sprawy osobiste, odnoszę się do dzieł kultury, na przykład „Zbrodni i kary” czy właśnie wierszy Szymborskiej. Ogól-

nie do motywów, które są mocno utrwalone w popkulturze, które może zrozumieć również ktoś oprócz mnie.

A ty, Alicjo?

A.: - Raczej nie podejmuję polemiki z innymi utworami, gdyż tak jak wspomniałam, w wierszach zazwyczaj rozstrzygam swoje własne, wewnętrzne dylematy.

Mówiliście o lockdownie marcowo-czerwcowym. Czy myślicie, że okres ten będzie miał bardzo duży wpływ na naszych rówieśników poetów? Czy to będzie wyznacznik ich twórczości? Piętno?

A.: - Lockdown na pewno ma duży wpływ na twórczość. Z jednej strony może wydawać się, że może ją ograniczać - przecież zamknięcie w domu może być naprawdę dołujące. Jednak mimo wszystko wydaje mi się, że wiele osób, w tym również ja, wykorzystało ten czas na samorozwój. Poszukiwanie inspiracji tam, gdzie ciężko je znaleźć może prowadzić do ogromnego, kreatywnego wybuchu.

E.: - To jest bardzo ciekawe, bo w związku z koronawirusem zmienia się język, powstają nowe określenia, a słowa nabierają nowego sensu. Tworzą się różne żarty związane z pandemią, koronami. Dużo memów nawiązuje do ponownego zamknięcia szkół i okresu lockdownu. Myślę, że ma to duże znaczenie, ponieważ każda sytuacja polityczna czy historyczna sprawia, że poeci biorą się za nią i zaczynają ją opisywać. Im dłużej trwa i wpływa na nasze życie, tym bardziej staje się powszechnym zjawiskiem. Dlatego wydaje mi się, że przez najbliższe lata, kiedy będziemy walczyć z pandemią, ta wciąż będzie obecna w kulturze i bardzo mocno wpłynie na twórców, jednak po czasie wszyscy jakoś o niej zapomną. Mało kto będzie od tego wracał, chyba że opisując lata młodości.

Myślicie więc, że jesteśmy świadkami nowej epoki w sztuce?

E.: - Wiesz co, być może, ale to nie ma związku tylko i wyłącznie z pandemią. To będzie się łączyć z ekologią, feminizmem... W Polsce ze sprawami. To bardzo wpływa na ludzi. Tak samo zaburzenie trójpodziału władzy. W ten sposób właśnie tworzy się nowa epoka. I chociaż wielu poetów w tej chwili skupia się na sobie, gdyby zaczęli podejmować tematy bardziej powszechne, zauważylibyśmy nowy nurt w sztuce.

A.: - Jest to bardzo możliwe. Współcześnie miesza się wiele rodzajów i poglądów na sztukę, stąd ciężko jest przewidzieć dalszy kierunek jej rozwoju. Różnorodność, jaką zauważamy wśród młodych twórców, może skutkować zupełnie nowym zdefiniowaniem sztuki jako coś dowolnego w interpretacji. Uważam, że ta nowa epoka może być przełomem, który wreszcie odejdzie od szkolnego „co autor miał na myśli”, jednocześnie pozwalając jej odbiorcom na własne, kreatywne zrozumienie zawartego w niej problemu.

Chcesz mieć własną stronę?

Wybieramy domenę

Wix, Blogger czy inne podobne rozwiązania to zazwyczaj beznadziejny pomysł na serwowanie personalnej strony. Nawet Wordpress się nie nada, chociaż radzi sobie jako szkolny CMS. Błyskawicznie doświadczysz przestroju formy nad treścią, bez dłuższego przełączania ustawień witryna nie będzie wyglądać zbyt profesjonalnie (nie każdy ma własnego Łukasza Świszcza), dosyć wolno będzie się ładować, a jeśli nie chcesz utrzymywać serwera (nie chcesz!), to zazwyczaj na deser będzie cię to kosztować masę pieniędzy. Pieniądzy, których nie masz.

A po co? A dlaczego?

Kilka numerów temu (wydanie 44, s. 8), podczas koronawirusowej przerwy w edukacji, udowaśniałem Wam, jak wielką wartość wnosi własna strona. Wspomniana lista benefitów w aktualnej sytuacji z dnia na dzień staje się jeszcze bardziej aktualna, więc zapomniałskich odsyłam do wspomnianego artykułu. Wywołał on lekkie poruszenie i, co mnie uszczęśliwiło, garstkę osób przekonała do podjęcia faktycznych działań w kierunku stworzenia własnej strony. Oto jak tego dokonać. Znajdą się tu pewne rozsądne uproszczenia - moim celem jest poradnik życiowy, nie teoretyczny.

o czym wspomina się na lekcjach informatyki. Niespecjalnie nas to interesuje – po prostu chcemy, żeby nasza strona też miała swój adres.

Jak wybrać domenę?

To nietrywialne – w świecie IT często mówi się, że najtrudniejszy jest sam proces nadawania nazw. Sprawa jest tym cięższa, że wiele domen jest już zajętych, podobnie jak z mailami. Ktoś był szybszy i wykupił je przed Tobą. Warto wybrać coś ze swoim nazwiskiem, bo w przyszłości zawodowej wpłynie to na tworzenie waszej marki osobistej. Jeśli to nie jest Twój główny cel, śmiało można eksperymentować. Ogranicza Cię tylko wyobraź-

nia i wolna pula adresów. W przyszłości nie będziesz miał dużego problemu z ewentualną zmianą.

Najprzyjemniejsze na początek – domena

Kojarzysz „google.pl”, „facebook.com” albo „zamówszambo.pl”. Adresy, które wpisujesz w pasek przeglądarki, pozwalają ci na odwiedzenie ulubionych stron. Gdzieś w tle odbywa się czarna magia, odpytywanie serwera DNS, ustalanie adresu IP, wczytywanie – to wszystko,



Wróg publiczny numer jeden

Ostrożnie z polskimi znakami! Jeśli możesz, koniecznie ich unikaj. Kiedyś zasada była taka, że znaki diakrytyczne w domenach po prostu nie występowały – kupowałeś domenę z „o” zamiast „ó” i mogłeś być z siebie dumny. Sytuacja się zmieniła – teraz „zamówszambo.pl” i „zamowszambo.pl” to zupełnie inne adresy. Jeśli masz w nazwisku „ogonki” albo „kreseczki”, zdecydowałbym się na zakup obydwu wersji i przekierowanie, a kiedy interesuje Cię tylko jedna – z całą pewnością tą bez udziwnień. Pamiętaj o tym szczególnie, kiedy Polska nie jest Twoim jedynym rynkiem docelowym.

Zabawa w rozszerzenia

„.pl” i „.com” od dawna nie jest już jedynym możliwym wyborem. Mamy dostęp do licznych rozszerzeń z całego świata, takich jak „.cz” (czeska), „.es” (hiszpańska), „.co” (kolumbijska). Już w żaden sposób nie implikują one faktycznego kraju powiązanego ze stroną. Dodatkowo np. Google wprowadził swoje atrakcyjne bezpieczne rozszerzenia, które też standardowo funkcjonują - „.studio”, „.tech”, czy „.design”. Jeśli jesteś programistą, zwróć też uwagę na ogólniejsze „.dev”, które zyskuje coraz większy udział na rynku. Swego czasu modne były również czarnogórskie „.me”.

To wszystko pozwala nam na zabawę z wyborem adresu, tzw. „domain-hacki” – dobór rozszerzenia w taki sposób, aby był częścią wyrażenia lub wyrazu. To zazwyczaj czyni nazwę znacznie bardziej atrakcyjną. Przykłady: fa.st, blo.gs, spoti.fi, czy bardziej rodzime rodkiem. cz i kowalin.ski. Jeśli masz długie nazwisko, warto to rozważyć.

„Poproszę kilogram domen”

W tym momencie musisz mieć już kilka pomysłów na własną domenę. Sprawdź, czy są dostępne, a jeśli tak – w jakiej cenie? Powinna być przystępna, na poziomie poniżej 50 zł rocznie. Bardzo rzadko znajdziesz jakiś wy-

jątek, ale np. „.cars” będzie Cię kosztować ponad 8000 zł rocznie. Jeśli akurat nie jesteś salonem samochodowym, poszukałbym czegoś innego...

Ja korzystam z domcomp.com – odpowiednika Ceneo dla domen. Lista wszystkich dostępnych rozszerzeń jest bardzo wygodna, od razu widać też czy interesujący nas adres jest dostępny. Jeśli szukasz domeny „.pl”, nie sugeruj się podanymi tam cenami i skorzystaj z polskich rejestratorów, np. nazwa.pl albo az.pl. Warto rejestrować domeny tylko na rok, a potem ewentualnie bezproblemowo przenieść do firmy z lepszą ofertą.

Rejestratorzy domen działają zupełnie jak zwykłe sklepy – organizują promocje i wciskają dodatkowe usługi. Ciebie interesuje tylko domena i jak najniższa cena – skica.dev z GoDaddy za 20\$ nawet minimalnie nie będzie różnić się od skica.dev kupionego na Porkbun za 11\$ i właśnie tam została kupiona.

Ewentualną potrzebną usługą może okazać się WHOIS Privacy – pozwoli na ukrycie twoich prywatnych danych adresowych w publicznej bazie właścicieli domen (WHOIS). Przy wielu rozszerzeniach dzieje się to z automatu, ale niekiedy potrzebna jest dodatkowa opłata. Sprawdź to lub rozważ, czy możesz zarejestrować domenę na adres np. biura rodziców.

Nazwij się!

Zakup domeny to dopiero początek tworzenia własnej publicznej witryny, ale jednocześnie jeden z najważniejszych i najbardziej wymagających kroków. Wymaga bowiem kreatywności i namysłu. Przygotuj własny adres i wybierz rejestratora, u którego dokonasz zakupu. W kolejnym numerze „Politechnika Juniora” dalej przeprowadzę Cię przez ten niezwykle i wartościowy proces.

MAKS SKICA – 2 C

Co będzie dalej?

Codziennie rekordy zakażeń, nasilające się protesty przeciwko zaostreniu prawa aborcyjnego czy te sprzeciwiające się „piątce dla zwierząt” czarno rysują naszą przyszłość. Co będzie dalej? Co się wydarzy za tydzień, miesiąc czy rok? Jak odnaleźć się w tym nowym, niespokojnym świecie?

Temat numer jeden

W obecnej sytuacji, gdy można pogubić się, co oznacza dana liczba w statystykach, ciężkim do określenia jest, co wydarzy się za jakiś czas. Ba, często nie da się nawet do końca opisać, co dzieje się w tej chwili. Jak dobrze wiemy, papier przyjmie wszystko i tam się będzie zgadzała liczba karetek, liczba miejsc w szpitalach czy pieniądze przeznaczane na służbę zdrowia i sanepid. Mimo wielu patologii (o jednej z nich w dalszej części artykułu) sytuacja pandemiczna schodzi na dalszy plan.

Kryzys

Obecnie tematem numer 1 są efekty wydanego 22 października wyroku Trybunału Konstytucyjnego pod przewodnictwem mgr Julii Przyłębskiej, który uznaje aborcję z przyczyn eugenicznych za niekonstytucyjną. Po 23 latach panowania tzw. kompromisu aborcyjnego, który pozwalał na wykonanie aborcji w wypadku, gdy płód jest ciężko uszkodzony, nagle taka przyczyna stała się niewystarczająca. Mając na uwadze statystyki aborcyjne w Polsce, zabieg ten stał się niemal nielegalny, a więc niezgodny z ustawą zasadniczą. Wynikiem tego są liczne protesty. Zaangażowani w nie są przede wszystkim młodzi ludzie. Ludzie, których ta sprawa dotyczy najbardziej. Łagodzenie zaognionej sytuacji jest mało prawdopodobne, bo już 11 listopada planowane są wielkie pochody. Politycy, wydaje się, planują przeczekać cały zryw. Prezydent Andrzej Duda, wywodzący się z obozu rządzącego, przedstawił projekt ustawy nieco łagodzącej restrykcyjne prawo aborcyjne, jednak po stronie pro-lifowców został okrzyknięty jako „... popierający aborcję eugeniczną”.

Początek końca?

Pełzający lockdown, utrata pracy przez wiele osób i zapasć w gospodarce nie zapowiadają stabilności, a media donoszą o buncie niektórych posłów. Protesty kobiet w połączeniu ze stratą wsparcia polskiej wsi, która poczuła się zdradzona po próbie wprowadzenia „piątki Kaczyńskiego”, może i czasowo odwracają uwagę od sytuacji Polski w obliczu pandemii, jednak na dłuższą metę nie wróżą wysokich notowań rządzącym. Możemy spodziewać się kolejnego przeciągania liny w obozie Zjednoczonej Prawicy i mniejszej stabilności w rządzie.

Czy leci z nami pilot?

Mając informacje z pierwszej ręki, przekonałem się, jak działa obecnie sanepid w Polsce. Prawda jest taka: nie działa. I warto w tym miejscu nadmienić, że nie jest to w żadnym stopniu wina jego pracowników, którzy robią, co tylko mogą, aby zachować niezbędne procedury.

W całym kraju pracuje we wszystkich stacjach sanitarnych około 15 tysięcy osób, jednak są w tę liczbę wliczeni pracownicy pracujący w terenie, w centralach i ludzie niezajmujący się stricte działem sanitarno-epidemiologicznym. Obecnie procedura wygląda tak, że otrzymawszy pozytywny wynik testu na obecność SARS-cov-2, sanepid powinien się z nami skontaktować i nałożyć kwarantannę. Jednak z racji, że instytucja ta jest silnie obciążona, nie ma możliwości natychmiastowego kontaktu z zakażonymi. Codziennie przybywa ich około 25 tysięcy, a pamiętajmy, że chorych trzeba wcześniej wykryć, pobrać oraz zbadać próbkę z wymazu. Do granicy wytrzymałości zostały doprowadzone przychodnie Podstawowej Opieki Zdrowotnej, które początkowo miały odciążać przepracowane osoby z sanepidu. Obecnie jest bardzo ciężko umówić się nawet na „telewizytę”, na której wystawiane jest skierowanie na test. Lekarze, którzy nie mogą narzekać na nudę, nie mają możliwości, aby dopilnować stanu każdego, kto został wysłany na test z danej przychodni.

Samokontrola

Jak możemy wesprzeć działania służb? Oczekując na telefon sanepidu (który przy obecnej liczbie zakażonych może nastąpić dopiero po nałożonej wstecz izolacji) można sprawdzić wynik samodzielnie na Internetowym Koncie Pacjenta. Rezultat badania pojawia się zazwyczaj już na drugi dzień od pobrania wymazu. Ważnym problemem, który spotyka wiele osób oczekujących na magiczny telefon, jest niepewność: iść do pracy czy nie? ZUS wypłaca świadczenie chorobowe wynikające z przebywania na kwarantannie na podstawie odpowiedniego dokumentu. Jednak skoro dokument ten jest wystawiony kilka dni po rozpoczęciu izolacji, osoba „pozytywna” czy „po kontakcie” może być nieco zdezorientowana. W końcu nie wie, czy ma iść do pracy, a jeśli nie, to czy dostanie jakiegokolwiek pieniądze za jeszcze nienałożoną kwarantanną.

Przyszłość jest obecnie jedną wielką niewiadomą. Po wielu wydarzeniach, które jeszcze rok temu wydawały się nieprawdopodobne, nie wiemy, czy jeszcze jakieś święta spędzimy po staremu. Powinniśmy przede wszystkim słuchać się ekspertów i autorytetów w danej dziedzinie. Tępienie fake newsów i wszelkich przejawów jakiegokolwiek próby tłumienia prawdy to działania, które może podjąć każdy. Nie utrudniajmy życia innym - nie wiadomo, jak radzą sobie z codziennym bombardowaniem negatywnymi informacjami i jakie problemy mają. Jednak gdy sami potrzebujemy pomocy specjalisty, śmiało po nią sięgnijmy.

Osobliwe paradoksy u pani Peregrine

Najpierw była Narnia i zwyczajne dzieci z Anglii. Później nastoletni czarodziej i Hogwart. Potem pojawili się młodzi herosi z USA z Percym Jacksonem na czele. Dalej... no cóż, wilkołaki i wampiry. A w 2011 roku na scenę wkroczył debiutujący pisarz, Ransom Riggs, który przedstawił nastoletnim czytelnikom kolejną, fantastyczną frakcję – osobliwych. „Osobliwy Dom pani Peregrine”, pierwsza część trylogii Riggsa, w 2016 roku doczekała się adaptacji w reżyserii Tima Burtona. Dlaczego o tym piszę? Przecież to było tak dawno... No tak, było dawno. Ale filmowe rany, nawet te najdawniejsze, niezabliźnione bolą najbardziej.

Pamiętam te czasy, kiedy jeszcze istniały gimnazja (!), a ja chodziłam do pierwszej klasy. Wtedy też nastał znowu szal na „Osobliwy dom...”, głównie dzięki nagłośnieniu premiery. Na moje szczęście najpierw dostałam książkę, którą byłam zachwycona. Debiut Riggsa wnosił jakiś powiew świeżości do świata literatury młodzieżowej, szczególnie po czasach, w których królowały romanse z błyszczącymi wampirami albo demonami. Szybko stałam się fanką historii Riggsa, przez co sięgnęłam po kolejne tomy. I chociaż wiedziałam, że świat osobliwych dzieci nie jest miejscem, w którym chętnie bym mieszkała, w pewien sposób mnie fascynował, głównie przez niesamowity klimat. Autor zadbał o dreszczyk u czytelnika dzięki starym, dziwnym fotografiom, które nawet dzisiaj wydają mi się trochę straszne. Nic dziwnego, bo „Osobliwy dom...” to horror-fantasy dla młodzieży. Podczas lektury przypominał mi trochę „Sierociniec”, ale w bardziej przyjaznej wersji.

Oczekiwania versus rzeczywistość

Po jakimś czasie udało mi się obejrzeć adaptację „Osobliwego domu pani Peregrine”. Co poczułam? Jako fanka przede wszystkim... zawód, bo nie tego spodziewałam się po Timie Burtonie, znanym mi przede wszystkim z aktorskiej wersji „Alicji w Krainie Czarów”. Tak, czułam ten burtonowski klimat, charakterystyczne filtry, a nawet czarny humor, ale... Nie. Po prostu nie. Film podpadł mi przede wszystkim przez rozbieżności z książką, których jest tam bardzo dużo.

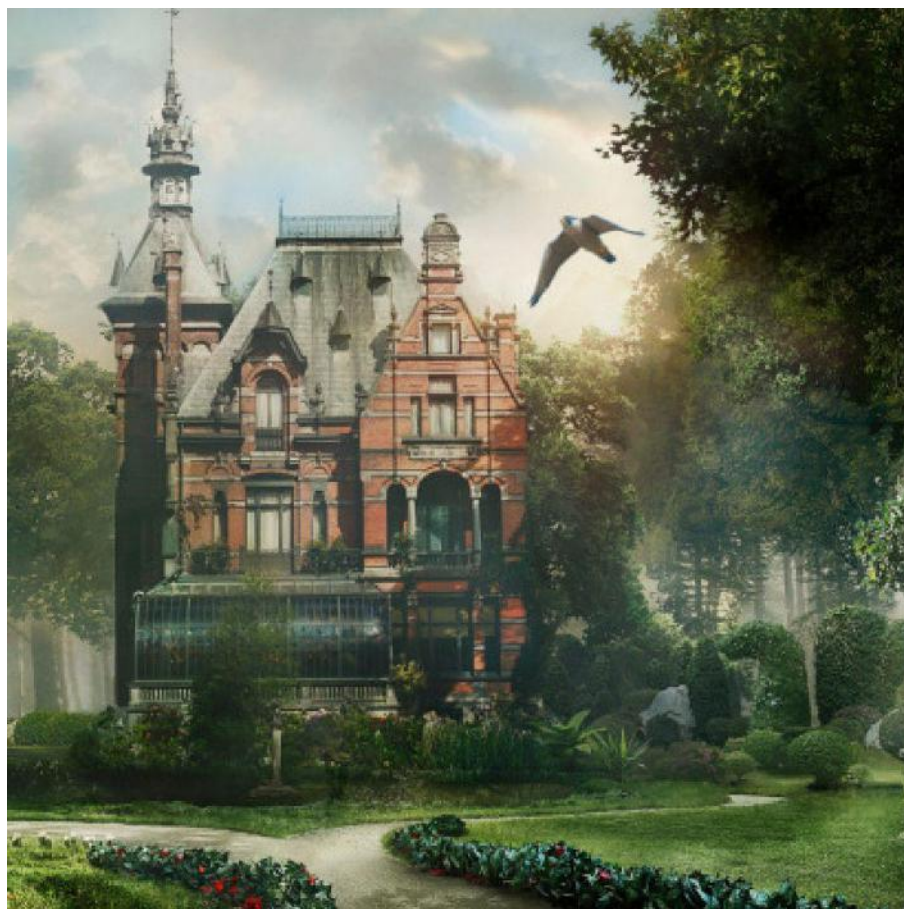


Trzy lata później kwarantannowe, marcowe nudy zmusiły mnie do ponownego obejrzenia „Osobliwego domu...”. Tym razem, poza dużym rozczarowaniem, czułam niedosyt. Bo chociaż trylogię (a powstają nowe tomy i mam trochę do nadrobienia) czytałam jeszcze w gimnazjum, miło jest wracać do ciekawego świata i bohaterów, których darzy się sympatią. No, ale nie w formie filmu. Może zacznę od początku.

Osobliwy początek

Dla tych, którzy nie są specjalnie w temacie. „Osobliwy dom pani Peregrine” opowiada historię nastoletniego Jacoba Portmana, którego dziadek ginie w dziwacznych okolicznościach. Abraham „Abe” Portman w czasach II wojny światowej wychowywał się w sierocińcu na wyspie Cairnholm u wybrzeży Anglii. Jako maluch Jake wysłuchiwał często opowieści Abe’a o osobliwych dzie-

I chociaż ta zmiana nie jest negatywna, jest po prostu nielogiczna i wprowadza tylko zamieszanie. Klimat adaptacji początkowo jest tajemniczy, jednak po jakimś czasie zaczyna nudzić. Ekspozycja jest tu zdecydowanie za długa. Dopiero po pięćdziesięciu minutach dochodzi do konfrontacji kluczowej dla zawiązania akcji. Bierze się to być może z tego, że w książkowej trylogii pierwszy tom dzieli się na dwie części: „Przed” oraz „Po”. W każdym razie tak długi wstęp miałby sens tylko, gdyby Tim Burton planował ekranizację w trzech częściach. Niestety – film jest tylko jeden. Powoduje to naprawdę osobliwą sytuację, w której ekspozycja trwa pięćdziesiąt minut, rozwinięcie mniej więcej dwadzieścia, a zakończenie również pięćdziesiąt. Trzy tomy w jednym filmie? Wszystko na to wskazuje. W związku z tym film twórcy „Soku z żuka” trzeba traktować jako obraz luźno oparty na „Osobliwym domu...”, nie zaś jego ekranizację.



ciach oraz ich opiekunce – Almie Peregrine (posiadającej umiejętność przemiany w ptaka), zamieszkujących ten niesamowity dom. Dzieci ukrywały się w bezpiecznym miejscu, z dala od potworów grasujących wtedy po świecie. Dorastający Jake interpretuje sens opowieści już w inny sposób, patrząc na nią przez pryzmat holocaustu oraz żydowskiego pochodzenia nestora rodu. Jednak po śmierci Abe’a Jake doświadcza coraz dziwniejszych sytuacji. Zdesperowany chłopak, aby rozwiązać rodzinną tajemnicę, udaje się na Cairnholm.

„Przed” i „Po” – ale nie w filmie

Początek filmu i książki nie różni się za bardzo, pomijając kilka upraszczających rozwiązań fabularnych. Nastąpiła też pewna zamiana osobowości dwóch bohaterów, co może przysporzyć trochę trudności czytelnikom.

Ptaszysko i jej podopieczni

Eva Green w roli charyzmatycznej Almy Peregrine wypada jako postać, która dźwiga cały ciężar filmu. Nie pozostawia złudzeń nawet czarnemu charakterowi, że to ona tutaj rządzi - nawet jeśli jej i jej podopiecznym zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo. Mimo to widzom, którzy nie mieli kontaktu z książkowym pierwowzorem, może być trudno odczytać zamiary tej postaci. Przez niektóre zagrania mimiką pani Peregrine wzbudza czasem nieufność – niektórzy mogą ją nawet posądzić o bycie antagonistką.

Jake’a Portmana gra Asa Butterfield, dziś znany bardziej z netflixowego serialu „Sex Education”. Jego bohater wydaje się dokładnie takim Jacobem jak w książce – mało rozgarniętym, trochę zagubionym i przerażonym gwałtowną zmianą w swoim życiu. I choć gra całkiem dobrze, brak mu czegoś, co by wysuwało go na prowadzenie w akcji. Z kolei Ella Purnell w roli (dosłownie!) eterycznej Emmy, towarzyszkii Jake’a, zwraca uwagę i czasem zabiera głównemu protagoniście miejsce do popisu. Jest silną, dziewczęcą bohaterką, ale trzeba przyznać, że w książce była bardziej zadziorna.

W roli antagonisty występuje Samuel L. Jackson i szkoda, że dostał do zagrania miejscami tak absurdalnego bohatera (który znacznie różni się od swojej książkowej wersji). Jednak sposób, w jaki aktor bawi się swoją postacią sprawia, że łatwo zapomnieć o jej irracjonalnych decyzjach. Epizodycznie na ekranie pojawia się Judy Dentch – niestety, sceny, w których występuje, można policzyć na palcach jednej ręki, chociaż jej bohaterka odegrała w trylogii większą rolę. Co dziwne, jednym z moich ulubionych bohaterów jest Franklin, ekscentryczny ojciec Jake’a. Chociaż wyrusza z synem na wyprawę, ma do niej lekceważący stosunek, co sprawia, że jest naprawdę komiczny.

Przepis na pokręcenie continuum

To, co w filmie raziło mnie najbardziej, to sposób traktowania podróży w czasie - jestem na tym punkcie bardzo wyczulona. Idea „Osobliwego domu...” opiera się na tworzeniu pętli czasowych (obejmujących ostatnie dwadzieścia cztery godziny). To właśnie w nich żyją osobliwe dzieci ze swoimi opiekunkami. Wejście do pętli jest pilnie strzeżone, a wszystko ze strachu przed głucholcami – stworami polującymi na osobliwych. W książce nie miały miejsca absurdalne zwroty akcji podczas przeskoków po liniach czasowych – a jest to jeden z tych motywów, który najłatwiej jest zepsuć. Niestety, film nie uniknął błędów i braku logiki w continuum czasowym. W „Osobliwym domu...” występuje przemieszanie koncepcji czasu zapętlonego i linearnego, jednak jego adaptacja doprowadziła do jednego, absurdalnego momentu. Bo, zabijając późniejszą wersję antagonisty, nie uniknie się zbrodni, którą popełniła jego młodsza wersja. Żeby nie dopuścić do danego wydarzenia, trzeba zabić młodsze „ja” czarnego charakteru, z czym byłoby jednak więcej kłopotu. Skutki jednej złej decyzji scenarzystów prowadzą do kolejnych absurdów, których nie będę tutaj rozwijać. Zresztą igraszki z czasem okazały się zgubne nie tylko dla tego filmu. Do podobnych kwiatków doszło w ekranizacji „Trylogii Czasu” Kerstin Gier. I choć w książce wszystko składa się w całość i łączy, o tyle w trzecim filmie na podstawie bestsellera absurd goni absurd.

Burton w swoim żywiole

Muszę przyznać, że finałowa bitwa to moja ulubiona scena w całym filmie. Widać, że podczas jej tworzenia Tim Burton był w swoim żywiole i dał do wiwatu swojej kreatywności. Bitwa kościotrupów z głucholcami – coś genialnego, aż miło patrzeć, szczególnie gdy osobliwe dzieci pokazują swoje zdolności w pełnej krasie i ze sobą współpracują. Z kolei sierociniec pani Almy prezentuje się bajkowo. Chciałoby się wpaść na miłą herbatkę, oczywiście nie będąc policjantami, których pani Peregrine rutynowo zabija. Szczególnie piękne są sceny w oranżerii z witrażami. Co ciekawe, filmowy dom pani Peregrine nie został stworzony komputerowo – jest autentycznym miejscem. Zdjęcia robiono w zamku Torenhof w Belgii. Tim Burton wybrał to miejsce po wielu poszukiwaniach i zachwyił się nim. Co więcej, film kręcono też w środku posiadłości, więc większość wnętrza, które oglądamy na ekranie, to prawdziwe pomieszczenia w Torenhof. Auten-



tyczny jest też ogród wokół fantastycznego domostwa. Myślę, że ten fakt dodaje filmowi więcej magii i uroku.

Paradoksy paradoksami...

„Osobliwy dom pani Peregrine” absolutnie nie jest złym filmem, chociaż nie jest też najlepszym obrazem Tima Burтона. Seans odradzam fanom serii Ransoma Riggsa (oszczędzicie sobie nerwów), polecam jednak tym, którzy nie czytali książek. Film może okazać się przyjemną rozrywką na jesienny, ponury wieczór – kto wie, może i zachęci do lektury pierwowzoru? Warto przenieść się nawet na chwilę do tego magicznego, osobliwego świata i poczuć odrobinę gęsiej skórki – bo „Osobliwy dom...” to obraz nastrojowy.

Szkoda, że ten wyczekiwany obraz Tima Burтона nie uniknął tylu paradoksów. Z jednej strony dobrze aktorzy, piękne plenery i ciekawa historia, a z drugiej problem z przedstawieniem podróży w czasie i duże skróty fabularne. Naprawdę, upychanie dwóch ostatnich tomów w niecałej godzinie nie mogło wyjść dobrze. Gdyby Burton podpisał kontrakt na ekranizację całej trylogii, wyszłoby to znacznie lepiej.

Myślę, że ten film jest idealnym potwierdzeniem słów Hermiony z „Więźnia Azkabanu” – „Straszne rzeczy dzieją się z tymi, którzy igrają z czasem”. I tak, to przestroga dla scenarzystów.

Ofiary normalności

Grupa roześmianej młodzieży, z podręcznikami od historii w jednej ręce i „Nad Niemnem” w drugiej, radośnie uczestnicząca w ogólnoszkolnej grze w chowanego... Chyba każdy z nas odruchowo nazwie ową sytuację „nie-normalną”, prawda? Przecież takie zachowanie jest niespotykane, a zatem dziwne, co z kolei pozwala nam całość zaszufłakować jako niepokojące oraz niepożądane i sprawić, że każdy szanujący się człowiek będzie unikać w życiu podobnych przyjemności, byleby nie przekroczyć granicy normalności. Czym jednak jest ta upragniona przez wszystkich normalność? Czy rzeczywiście jest dla nas taka dobra?



Dla każdego coś innego

Zarówno zabawny, jak i nieco przytłaczający, jest fakt, że wszystkie najważniejsze zjawiska i pojęcia w życiu człowieka, takie jak miłość, szczęście czy wolność, a nawet przyjemność, każdy z nas definiuje całkiem inaczej i wiąże z innymi aspektami codzienności. Co gorsza, choć jedni są w stanie ubrać własne przekonania w słowa i wykorzystać je w wyrazie własnej osoby, inni nie potrafią zwerbalizować i objaśnić innym tak niematerialnych pojęć, ale jedynie są świadomi, z jakimi wewnętrznymi odczuciami mają związek. Dotyczy to również normalności, wobec czego ta słynna miara, do której tak wiele osób stara się równać, prawdopodobnie nie istnieje w żadnym obiektywnym wymiarze.

Mniej filozofowania, więcej sensu

Choć nie da się stworzyć jednej definicji, która zadowoli wszystkich, przyglądając się bliżej badanemu zjawisku, zauważyć można, że jest to dążenie do pewnej średniej. Jeżeli weźmiemy w rachubę wszystkie znane nam cechy, w danej kulturze i miejscu, (zarówno fizyczne, psychiczne, jak i użytkowe – w wypadku przedmiotów), wykluczmy te, które powtarzają się rzadziej niż w połowie wszystkich przypadków, po czym je uśrednimy, uzyskamy coś, co wielu nazwie zwyczajnym. Wynika więc stąd, iż normalność jest czymś często spotykanym, raczej prostym do osiągnięcia i optymalnym. Jest to swego rodzaju ustawienie automatyczne, na które ludzie przełączają się, by specjalnie nie głowić się nad swym postępowaniem,

a jednocześnie nie gorszyć otaczającej ich społeczności. Pomaga nam znaleźć pewną bezpieczną przestrzeń, w której ludzi możemy podzielić na swoich – prostych do zrozumienia, postępujących wedle danych wzorców i nieprzedstawiających sobą niczego, co by mogło zburzyć nasz świat oraz obcych, którzy zachowują się według nieznanym nam norm, wybudzają nas z transu rutyny i wymagają od nas innych bodźców niż zwykliśmy wysyłać do otoczenia.

Ale wygodna ta normalność!

To prawda, że życie w jakichś odgórnie wytyczonych granicach, które zapewniają neutralność otoczenia, jest proste i bezpieczne; nikt z nas nie musi narażać się na czyjąś niechęć, negatywny sposób postrzegania przez otoczenie czy łatkę dziwaka, a w dodatku sprawdzone przez wielu przed nami! W końcu, łatwiej podążać za jakimś przywódcą, który wytyczy za nas wszystkie szlaki i pozwoli upewnić się, że obrona przez nas droga, choć może nie jest najlepsza i nie zapewnia sukcesu, nie prowadzi zarazem do katastrofy.

To właśnie w tym celu powstają wszystkie prawa, reguły dobrego wychowania czy nawet instrukcje; dzięki nim człowiek nie musi nadmiernie wyęźać mózgu, by odkryć własny sposób na poradzenie sobie z daną sytuacją, ale korzysta z danych mu, ogólnie przyjętych wzorców, które wprawdzie pozwalają mózgowi odpocząć, ale jednocześnie zabijają naszą kreatywność i indywidualność.

Czy normalność jest zła?

Tak naprawdę, nikt z nas nie jest normalny. Nie istnieje ani jedna osoba, która idealnie wpisywałaby się w średnią i wręcz była uosobieniem zwyczajności. Nie widać tego jednak na pierwszy rzut oka, gdyż każdy z nas stara się wygładzić swoje „kanty”, by gładko zmieścić się w tym, nadużywanym przez nas, pojęciu.

Choć wydźwięk całego artykułu może zdawać się stać w opozycji do wszelkich zasad, wcale nie namawiam do tego, by od dziś stać się buntownikiem, pokazowo przemierzającym w traperach zielony teren, oznaczony tabliczkami „Nie deptać trawy”, bo owe reguły jednak po coś powstały. Bez nich nasze życie byłoby trudniejsze,

a takie sfery życia jak przemieszczanie się środkami lokomocji czy zwykłe funkcjonowanie w społeczeństwie, niekiedy śmiertelnie niebezpieczne.

Uważam jednak, iż wszystkie narzucone nam sposoby postępowania i wyuczone zachowania powinniśmy traktować z głową, bez sensu podążać za czymś na ślepo jedynie po to, by uniknąć szeroko pojętego ryzyka. Ryzykowanie już ma to do siebie, że może doprowadzić nas do jakiegoś sukcesu, bodźca zachęcającego nas do podjęcia odpowiednich kroków lub upadku, który jednak często nas przed nim powstrzymuje. Wydaje się nam, że łatwiej wcale nie próbować, niż się sparzyć i, choć jest to prawda, zdecydowanie nie warto.

Każde wyjście poza naszą strefę komfortu pozytywnie wpływa na naszą pewność siebie, daje nam cenne doświadczenia życiowe, pozwalające poradzić sobie w przyszłości z trudnymi sytuacjami, a przy tym czyni nas tym, kim jesteśmy naprawdę.

Skoro życie jest relatywnie krótkie, to po co marnować je na dopasowywaniu się do ram narzucanych nam przez społeczeństwo, by końcowo samemu nie mieć pojęcia, kim jest się w rzeczywistości? Czy nie lepiej po prostu postępować w zgodzie ze sobą, wprowadzać nowatorskie rozwiązania do swojej codzienności, każdy dzień czyniąc niezwykłym i zobaczyć, dokąd zaprowadzi nas życie? Można zawsze próbować nieudolnie naśladować kogoś innego i wprowadzone przez niego rozwiązania, ale czy nie lepiej po prostu postępować po swojemu? W końcu, nie możesz robić czegoś źle, jeśli nikt nawet nie wie, co robisz...

EMILIA RYNKIEWICZ – 2 A

„Dziwny jest ten czas” – impresja

Jak się okazuje, „Politechnik Junior” może również inspirować. Temat ostatniego numeru, czas, zainspirował Alicję Ćwir z klasy 2 A do napisania własnej wersji opus magnum Czesława Niemena „Dziwny jest ten świat”. Zachęcamy do lektury!

Dziwny jest ten czas,
Co ciągle gna,
Szybciej już się nie da.
I dziwne jest to,
Że od tylu lat
Człowiek się mu poddaje.

Dziwny jest ten czas,
Wciąż taki sam,
Lecz od wieków przyspiesza.
A jednak człowiek wciąż
Za nim nadąża
I pędzi tak, jak ten czas.

A ludzi zmęczonych jest najwięcej,
Upadają na twarz,
Umierają.
Nie można w ten sposób tak żyć.
Nie! Nie! Nie! Nie!
Przyszedeł już czas,
Najwyższy czas.
Zatrzymać się na chwilę.

A ludzi zmęczonych jest najwięcej,
Upadają na twarz,
Umierają.
Nie można w ten sposób tak żyć.
Nie! Nie! Nie! Nie!
Przyszedeł już czas,
Najwyższy czas.
Zatrzymać się na chwilę.

Dziwaczne życie władców polskich

Wielcy ludzie, których wizerunki dumnie spoglądają z cokołów na poddanych, wbrew powszechnemu mniemaniu nie byli herosami ze spiżu. Wręcz przeciwnie, byli istotami ludzkimi, którym nieobce były drobne grzeszki czy zwyczajne słabostki, mieli też swoje skrzętnie skrywane sekrety i tajemnice. To spostrzeżenie dotyczy ludzi sprawujących władzę, a zwłaszcza monarchów, którzy jako pomazańcy Boży musieli szczególnie dbać o swój wizerunek.

Sekrety, tajemnice, spekulacje

Osiemnastowieczny satyryk niemiecki, Georg Christoph Lichtenberg, powiedział: „Ujawniać słabostki wielkich ludzi jest obowiązkiem, pokrzepia się przez to tysiące, nie szkodząc nikomu”. Pod wpływem tej maksymy powstała książka „Dziwactwa i sekrety władców Polski” Iwony Kienzler, w której przyrzemy się tajemnicom, jak i zainteresowaniom oraz słabościom władców naszego kraju. Od Piastów zaczynając, na naszym ostatnim królu Stanisławie Poniatowskim kończąc. Autorka spekuluje odnośnie zdrowia psychicznego niektórych przedstawicieli Piastów, ujawnia sekrety książąt i królów, ich preferencje seksualne oraz komplikacje małżeńskie i dynastyczne z tym związane.

Grzechy główne polskich władców

Podczas lektury poznamy zainteresowania naszych władców oraz zajęcia, jakim oddawali się z pasją, kiedy uwolnili się do męczących obowiązków państwowych i dworskiej etykiety. Dowiemy się także, jaką rolę w ich życiu odgrywały rozkosze stołu. Którzy z nich byli prawdziwymi niewolnikami mody, zasługując tym samym w oczach swych poddanych na opinię dziwaków, a którzy byli zupełnymi abnegatami w dziedzinie elegancji. Książkę zamyka rozdział poświęcony roli, jaką w życiu kolejnych władców odgrywali adepci sztuk tajemnych, czarownicy, jasnowidze, alchemicy oraz astrologowie.

Paparazzo w średniowieczu (i nie tylko!)

Iwona Kienzler wchodzi w rolę paparazzo wysłanego w czasy średniowiecza. Książka „Dziwactwa i sekrety władców Polski” jest ukoronowaniem jej poszukiwań,



dotyczących życia psychicznego, seksualnego, orientacji, smaków, gustów i zainteresowań władców zasiadających na tronie naszego państwa. Dzięki swej wnikliwości, Kienzler udaje się ujawnić skandale i ekscesy polskich władców. Zaglądamy do sypialni królów i książąt, bada-

my, kto ślubował białe małżeństwo, kto z kim sypiał, ile miał dzieci z nieprawego łoża, kto był homoseksualistą, kto lubił zadbać o swój wygląd, czyją namiętnością było jedzenie, kto miał depresję, kto dwubiegunówkę, a kto znajdował się na skraju obłędu.

Śledząc polskich royalsów

Książka, chyba ze względu na fascynację życiem „royalsów” wielu czytelników, może zyskać grono fanów. Podróż, w którą zabiera nas autorka prowadzi na bezdroża i wertepy pomijane milczeniem na lekcjach historii. Znacznie ciekawiej byłoby uczyć się tego przedmiotu, gdyby towarzyszyła mu lektura takich książek! Sprawa konfliktu biskupa Stanisława z Bolesławem Śmiałym nabiera przecież dramaturgii, gdy jej źródła szuka się w homoseksualnej orientacji króla Polski, na którą dzisiejszy święty nie mógł przystać? Czy nie chcielibyśmy wiedzieć, który władca miał około trzystu nieślubnych dzieci? Czy nie pragnęlibyśmy współczuć Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu, którego serce zostało bezpowrotnie złamane przez niezwykle piękną, ale też – jak się okazuje – wyrachowaną kobietę? Czy w świetle dzisiejszych dokonań naukowych, nie wydaje się zajmujące, kto z nich cierpiał na depresję, kto był agresywny, a kto potulny jak baranek?

Na wszystkie te pytania odpowiedzi znajdziemy w tej książce. Osoby, które uwielbiają czasopisma poświęcone plotkom i skandalom, znajdą tutaj coś dla siebie.

Sensacja, ale czy na pewno?

Niestety, książka ma wiele wad. Nie można jej uważać za wiarygodną lekturę naukową – wśród źródeł, z których czerpała autorka znajdują się nie tylko książki Jasienicy, ale i kronika Galla Anonima, którą autorka bierze bardzo dosłownie, a przekonania jej autora nie poddaje żadnej weryfikacji. Wydaje mi się, że książka Kienzler miała stać się skandalem na miarę tych opisywanych. Najwyraźniej coś poszło nie tak, jak to zamierzono. Jest to jednak ciekawa pozycja, która z bliska pokazuje nam życie naszych dawnych władców i zachęca do pogłębiania wiedzy.



Witamy w cyrku!

Zanim ludzi zaczął przejmować los tresowanych zwierząt, postać clowna została skojarzona z książką „To” Stephena Kinga, a opuszczone wesołe miasteczka stały się idealnym miejscem do kręcenia horrorów, nałogowo korzystano z atrakcji serwowanych przez cyrki i lunaparki. Większość z nas kojarzy pewnie wesołe miasteczko przy placu Społecznym, które uparcie stoi tam od prawie dwóch dekad. Można jednak się spodziewać, że nie jest to jedyny lunapark, jaki widział Wrocław. Wystarczy sięgnąć do ostatnich dekad XIX wieku.

Jeśli już jesteśmy przy clownach, grzechem byłoby nie zacząć od historii nieistniejącego już cyrku Buscha przy placu Rozjezdnym. Był to drugi stały obiekt tego typu w Breslau, zbudowany w 1877 roku na polecenie Ernsta Renza. Renz pochodził z Berlina z rodziny linoskoków, sam później zajął się trenowaniem zwierząt. Po wielu latach pracy w cyrkach objazdowych założył swój własny, z którym podróżował po Niemczech. Po powrocie z tournée osiadł w Berlinie, gdzie przekształcił biznes w cyrk stały – tak powstał Circus Renz, który działał tam jeszcze przez pół stulecia (przetrwał pięć lat po jego śmierci). Przedsiębiorstwo rozwijało się i przynosiło coraz większe zyski. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby berlińczyk rozszerzył wpływy swojego imperium na inne części Niemiec. Filie Circus Renz powstały w Hamburgu, stolicy Austrii – Wiedniu oraz właśnie we Wrocławiu.

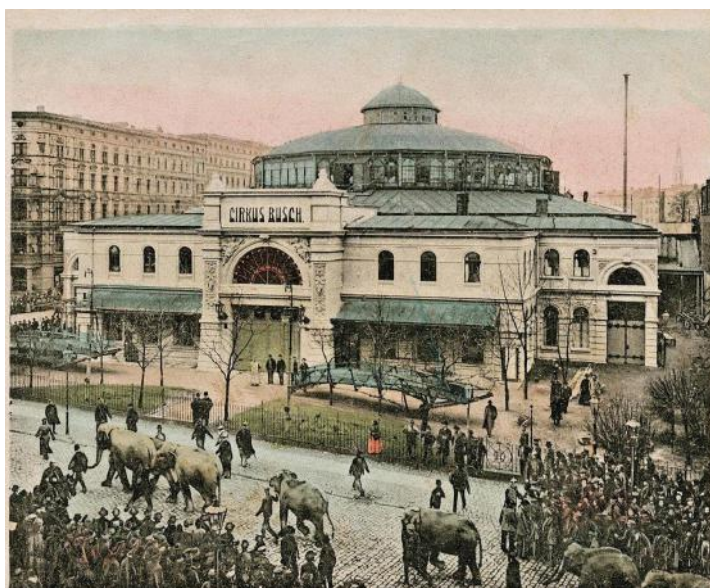
widowni berlińskiego, starszego brata – wynosiła 6000 miejsc, czyli o 400 więcej! Cyrk bardzo dobrze przyjął się w Breslau, dlatego w 1885 roku nastąpiła jego przebudowa w stylu neorenesansowym. Tym razem cyrk był w całości murowany, a dach namiotowy zastąpiła metalowa kopuła z przeszkleniami. Dobudowano też pomieszczenia gospodarcze, stajnię oraz restaurację.

Niemiecki Król Rozrywki i jego córka

Sześć lat po śmierci Ernsta Renza jego cyrk wykupił Paul Busch, kolejny przedsiębiorca cyrkowy, także posiadający swoje areny w Wiedniu, Berlinie i Hamburgu (tę również wykupił od Renzów). W ten sposób Busch stał się nowym „Niemieckim Królem Rozrywki”. Zadbał o modernizację breslauerckiego cyrku – wpadł m. in. na pomysł zbudowania podziemnego basenu oraz udoskonalili scenę teatralną. Po śmierci ojca władzę w imperium przejęła jego córka, Paula, nazywana później „Grande Dame niemieckiego cyrku”. Podczas jej rządów do breslauerkiej filii zawitał drezdeński cyrk Sarrassani (1935 rok) oraz Paul Korth, zwany przez publiczność Cortinim. Co ciekawe, ten zawodowy mag, uważany dziś za wynalazcę sztuczki z gazetą, ukończył praktyki na piekarza i cukiernika, a magią zainteresował się jako nastolatek. Świadectwem jego wizyty w cyrku Buscha są charakterystyczne żetony, które rozdawano widzom podczas jego występów.

W 1944 roku Paula Busch ze swoją załogą obchodziła 60-lecie breslauerckiego cyrku. Rok później musiała ewakuować się stamtąd przed Festung Breslau. Udała się do Berlina razem z pracownikami, 60 końmi, 10 innymi zwierzętami oraz 12 wozami. W 1948 roku Grande Dame wyjechała do Szwecji, gdzie mieszkała jej córka z rodziną – jeszcze w trakcie wojny uciekali oni przed gestapo.

Sam budynek wrocławskiego cyrku nie przetrwał oblężenia miasta. Został zbombardowany wraz z okoliczną zabudową, a rozbiórki dokonano niedługo po wojnie. Dziś w jego miejscu stoją bloki.



Imperium

Nie był to byle jaki, filialny cyrk. Budowę zlecono Ernstowi Wenzlowi – zaprojektował on budynek na planie rotundowego, murowano-szkielekowego dwunastoboku o średnicy 45 metrów, z dachem namiotowym. Liczba widzów, którzy mogli oglądać popisy, przebiła pojemność

Wesołomiasteczkowy stan

Historia kolejnego, breslauerkiego lunaparku wiąże się z Wystawą Stulecia, zorganizowaną w 1913 roku na świeżo otwartych szczytnickich terenach wystawowych. W miejscu, na którym dziś stoi Iglica oraz kolumnada z klombami i wielkimi halami, w 1913 roku z okazji otwarcia budynku Maxa Berga postawiono... wesołe miasteczko. Pojawiało się ona na Szczytnickach już wcześniej, bo również w 1910 roku, kiedy postawiono lunapark z okazji Wrocławskiego Tygodnia Świątecznego. Tym razem jednak wesołe miasteczko było większe, a rozrywka kontrastowała ze sztuką oraz wystawami historycznymi.

Co ciekawe, zachowało się znacznie więcej rzutów projektów pawilonów rozrywki niż ich zdjęć, a było co projektować. Z okazji Wystawy Stulecia postawiono dwie hale targowe, kino (również takie na wolnym powietrzu) oraz teatr. Znalazło się miejsce na kilka restauracji, pawilon wytwórni likierów, winiarnie czy... prawdziwą chatę-schronisko prosto z Karkonoszy (która została tam prawdopodobnie na stałe). Co do bardziej wesołomiasteczkowej rozrywki, wzniesiono gabinet śmiechu, teatr marionetek, kolejkę górską i zjeżdżalnię wodną.

Najbardziej paradoksalne jest jednak to, że z budynków lunaparku przy Hali Stulecia nie korzystały w większości ówczesne niższe sfery, jak by się można tego spodziewać. Na zdjęciach dominuje arystokracja i bogate mieszczaństwo, których członkowie korzystają z szaleństw wesołego miasteczka.

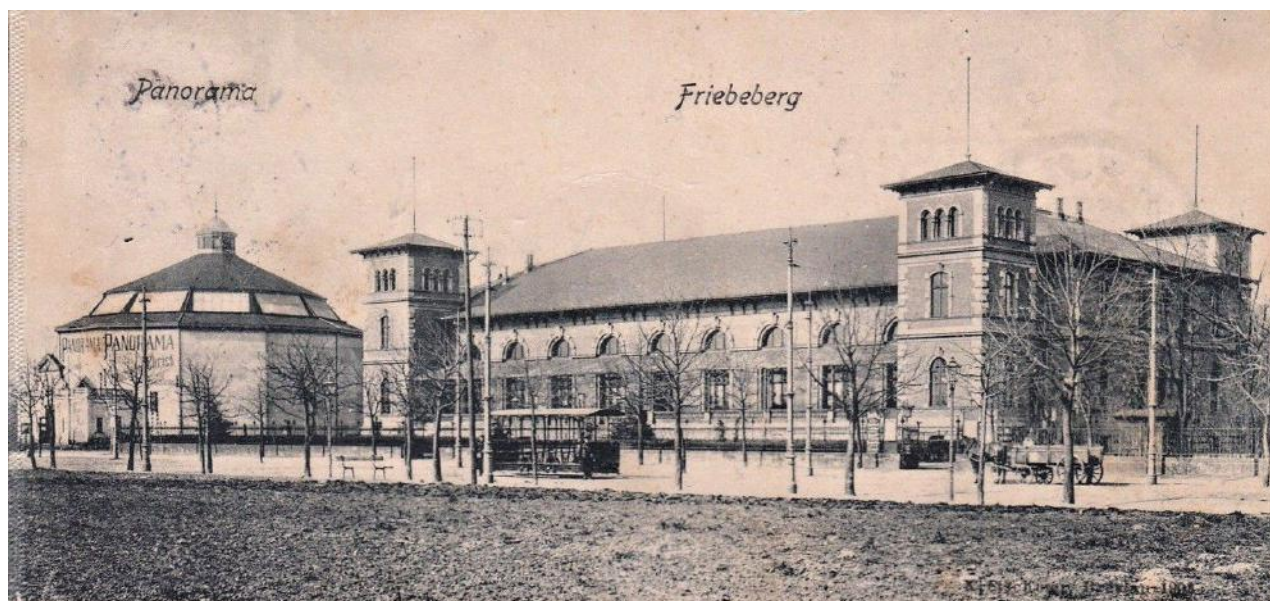
salą koncertową i halą taneczną obok. W lunaparku można było się pokręcić na karuzeli, zobaczyć pokazy konne na hipodromie czy przejechać się gondolą w sztucznej „Błękitnej Grocie” albo wagonikiem na kolejce górskiej, zwanej „Żywą Falą”.

Etabliessement Bürgesälen ucierpiał szczególnie podczas powodzi w 1903, jednak wyszło cało z kataklizmu i działało do 1940. Sala Śląska, czyli sala taneczna, była nazywana największą i najpiękniejszą salą wschodnich Niemiec. Patrząc na stare fotografie i pocztówki, trudno się z tym nie zgodzić.

Mimo to podczas wojny budynek okrył się złą sławą, przestano go kojarzyć z miejscem zabaw. Stał się obozem pracy przymusowej, a w 1944 roku umieszczono w nim zesłanych do III Rzeszy niektórych powstańców warszawskich. Więźniowie jeździli specjalnym tramwajem do zakładu „FAMO”, produkującego podczas wojny m. in. amfibie i pojazdy wojskowe. Remontowano tam też czołgi.

Po wojnie lunapark zupełnie zniknął i została po nim jedynie betonowa płyta. Z kolei budynek restauracji został przemianowany na hurtownię. Przez wiele lat mieściły się w nim magazyny i sklepy, aż do 2010 roku. Mimo ciekawej formy architektonicznej nie został on wpisany do rejestru zabytków – wyburzono go pod zabudowę mieszkaniową. Bürgesälen podzielił los większości wrocławskich etabliessements, po których dziś ani śladu.

Lunaparki, wesołe miasteczka i cyrki, nawet jeśli zawiąły do Breslau, nie znajdowały w nim spokojnego miej-



Żywa Fala i inne błękitne grotty

W Breslau jedną z głównych rozrywek były wizyty w tzw. Etabliessements (z francuskiego – przedsiębiorstwo). Pod tą obco brzmiącą nazwą kryła się zwykle restauracja z salą koncertową oraz ogrodem bądź innym terenem rekreacyjnym. Etabliessements były powszechnym zjawiskiem w przedwojennym Wrocławiu, ale dzielnicą, która biła ilościowe rekordy pod względem posiadania „przedsiębiorstw”, było Morgenau, czyli po polsku Rakowiec. Teren całkiem malowniczy, wokół dużo zieleni, blisko Odry. Nic dziwnego, że w tym miejscu postawiono aż kilkanaście Etabliessements. Największym z nich był Bürgesälen, który wyróżniał się spośród innych posiadaniem lunaparku. Wesołe miasteczko znajdowało się na betonowej płycie zaraz za budynkiem dużej restauracji z

sca. Niektóre bardzo szybko zniknęły, inne nie miały szans przetrwać wojny. Nic dziwnego, że mówiąc dziś we Wrocławiu „lunapark”, od razu przed oczami pojawia nam się tylko ten z Placu Społecznego. A on tak uparcie stoi, i stoi.

MAŁGORZATA WIECZORKIEWICZ – 2 A

Pożegnaliśmy geniusza

Większość osób zapytanych o to, kto jest największym gitarzystą wszechczasów odpowiedziałoby bez większego wahania – Jimi Hendrix. Człowiek, który zupełnie zrewolucjonizował świat bluesa i rocka. Nikt nie miał tak dużego wpływu na gitarę elektryczną... z wyjątkiem może jednej osoby. Osoby, która 6 października przegrała walkę z rakiem.

Gdy w roku 1978 wydany został album Van Halen, debiutancki krążek zespołu o tej samej nazwie, świat rocka stanął na głowie. Muzyka wydobywająca się z głośników była inna niż cokolwiek stworzonego wcześniej. Ciężka, pełna niepokornionej energii i mocy. Jednak nie było to to samo, co mogliśmy usłyszeć od Led Zeppelin, The Who, Black Sabbath – chociaż tam też nie brakowało mocy. Jednak Van Halen oferowało coś zupełnie innego. Mniej bluesowego, a jeszcze bardziej... rockowego. Wszystko to było w głównej mierze zasługą 23-letniego gitarzysty, który miał wkrótce stać się niezapomnianą legendą w świecie muzyki – Eddiego van Halena.

lata, reszty nauczył się sam, co odbija się na jego charakterystycznym sposobie gry.

Innowator

Co właściwie stawia Eddiego wśród legend takich jak Hendrix czy Stevie Ray Vaughan? Wyobraźcie sobie zespoły takie jak Guns 'n' Roses, Metallica czy jakiegokolwiek współczesny zespół metalowy czy hardrockowy. To, jak brzmią ich gitary, w dużej mierze było inspirowane Eddiego van Halenem. Jego charakterystyczny sound wynikał z tego, jak bardzo zmodyfikowany przez niego był jego sprzęt. Gdy wreszcie było go stać na zakup brytyjskiego



wzmacniacza Marshalla, okazało się, że nawet po podkręceniu maksymalnie głośności i „gainu”, wciąż praktycznie nic nie było słychać (sieć domowa nie była w stanie dostarczyć wystarczającej ilości mocy). Dlatego, aby kontrolować głośność, użył autotransformatora, który regulował ilość woltów wprowadzanych przez gniazdko. W efekcie uzyskał brzmienie niesamowicie nasycone, pełne przesteru, dzięki czemu gitara reagowała na najlżejszy dotyk – brzmienie, które zostało potem określone mianem „brown sound”. Gdy zaprezentował je światu w 1978 roku, wszyscy chcieli brzmieć tak jak on. Wkrótce firma Peavey wyprodukowała

dla Eddiego model 5150, który choć miał być jego sygnaturą, stał się podstawą dla większości ówczesnych zespołów metalowych.

Bez ograniczeń

Wkład Eddiego w sprzęt gitarowy nie kończy się jednak na wzmacniaczach. Od początku chciał połączyć zalety dwóch najpopularniejszych typów gitar – stratocastera i les paula. W tym celu w korpus pierwszej gitary wstawił przetworniki z drugiej. Było to połączenie niewidziane wcześniej, ponieważ dotychczas stratocastery były

Desperat

Eddie pochodził z holenderskiej rodziny, która w roku 1968 przeniosła się do Stanów. Jego ojciec, grający na klawercie, namówił go do gry na fortepianie, jednak on wraz z bratem Alexem szybko przesiedli się na bardziej rockowe instrumenty – jeden wziął perkusję, drugi gitarę. Rodzina nie była jednak zamożna, przez co nie było ich stać na dobry sprzęt. Dlatego najbardziej charakterystyczna gitara Eddiego – Frankenstrat – została zbudowana przez niego samego. Lekcje pobierał przez dwa

powiązane raczej z bluesem niż z hard rockiem. Jednak dało to początek nowemu typowi gitary zwanej jako superstrat. Gitary, bez której nie obyły się Kirk Hammett z

Metalliki, Jeff Hanneman ze Slay-



era, Steve Vai, Joe Satriani i niezliczona liczba innych gitarzystów rockowych i metalowych. Jednocześnie Eddie miał wpływ na powstanie i spopularyzowanie mostka gitarowego typu floyd rose. Jego budowa pozwala na trzymanie stroju gitary nawet w przypadku ekstremalnych zabaw „wajchą” umieszczoną na mostku. Dziś taka konstrukcja jest standardem – wtedy to była rewelacja.

Narodziny shredu

Pomimo wszystkich wymienionych wcześniej innowacji, które Eddie wprowadził do świata gitary, jedna wybija się nad pozostałe. To właśnie z nią Eddie kojarzony jest najbardziej. Chodzi o zupełnie inną technikę gry, zwaną tappingiem, której, chociaż nie wymyślił, ale również od nikogo nie podebrał, to spopularyzował jak nikt inny. Technika ta zakłada uderzanie obiema rękami o gryf w przeciwieństwie do tradycyjnego grania, kiedy jedna ręka szarpie struny, a druga naciska na progi. W połączeniu z często używanym przez niego efektem – phaserem, odpowiedzialnym za charakterystyczny „szumiący” dźwięk – dawało to oszałamiające brzmienie, które po raz pierwszy w pełni zaprezentował w utworze „Eruption”, który do dziś pozostaje jednym z największych gitarowych hymnów wszechczasów. Jednak nie tylko tapping, ale również błyskawiczne solówki w niczym niepodobne do dzieł gitarzystów takich jak Page czy Clapton – oparte nie na bluesie i pentatonice, ale... na czym? No właśnie, trudno powiedzieć. Wtedy nie było wirtuozów pokroju Friedmana, Gilberta, Petrucciego, Beckera. Eddie był pierwszy. I chociaż wymienieni wyżej prześcigają Eddiego w pod względem techniki, to całkiem możliwe, że bez niego nie byłoby też ich.

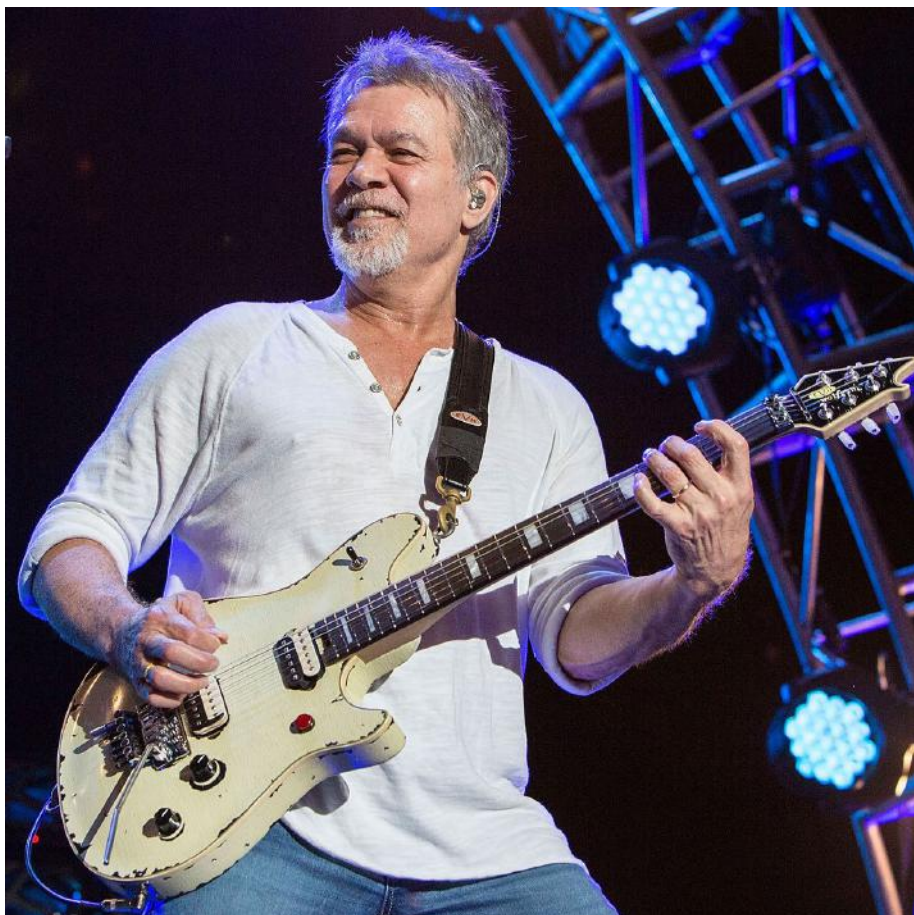
Inspiracja

Innowacje innowacjami, ale być może najważniejszą rzeczą, jaką Eddie dał światu, jest po prostu inspirowanie innych. Bycie bohaterem dla młodych ludzi, którzy słysząc jego muzykę i widząc go na koncertach, postanowili wziąć gitarę do ręki. Należą do nich największych: wspomniani Paul Gilbert i Jason Becker, Kiko Loureiro, Nuno Bettencourt czy John 5. I należę do nich również ja. Po zobaczeniu śmiejącego się Eddiego na teledysku do „Panama” i usłyszeniu 13-minutowej

wersji „Eruption” zagranej na żywo postanowiłem, że nauczę się grać na gitarze elektrycznej. I to postanowienie spełniłem.

Non omnis moriar

Rzadko kiedy śmierć kogoś, kogo nigdy nie spotkał, boli nas, jakby był członkiem naszej rodziny. Kimś takim dla wielu był Kurt Cobain. Kimś takim był John Lennon. I również kimś takim niezaprzeczalnie był Eddie van Halen, który swoją grą zmienił życie milionów osób. Podobnie jak Paul McCartney czy Mick Jagger był namacalną legendą, która w przeciwieństwie do wielu innych nie odeszła w młodym wieku. I chociaż jego samego już nie ma, to pozostawił muzykę, która po dziś dzień inspirowa i zachwyca. Podobnie jak ludzie grają utwory Jimmy’ego Hendrixa pół wieku po jego śmierci, tak za pół wieku muzyka Van Halen będzie rozbrzmiewała na całym świecie. A Eddie będzie patrzył na to wszystko z góry i uśmiechał się, jak to miał w zwyczaju.



BARTOSZ KACZMAREK - 2 A

Dziwna muzyka to najlepsza muzyka

Mówi się często, że popkultura żywi się sama sobą. Zatacza koło, co jakiś czas powracając do pomysłów z przeszłości. Istnieją stale powtarzane, skuteczne schematy stosowane w muzyce popularnej (i nie tylko), które powodują, że wiele rzeczy brzmi znajomo, pomimo że zostały wydane niedawno. Jednak co jakiś czas pojawia się muzyka, która jest inna, nieznaną, dziwna. Co to właściwie znaczy... i dlaczego jest tak genialne?

Słowo dziwny jest przez większość osób traktowane pejoratywnie, a określenie kogoś mianem dziwaka brzmi obraźliwie. Jednak co ono właściwie oznacza? Dlaczego określamy kogoś lub coś właśnie takim słowem? Zazwyczaj jest to coś spoza naszej strefy komfortu, coś, czego wcześniej nie doświadczyliśmy, co jest nam zupełnie obce. Często wydaje nam się to wtedy złe, głupie, nieodpowiednie dla nas. Jednak wystarczy to zaakceptować, dopuścić do siebie, a okaże się, że o mało co nie ominęło nas coś, co wkrótce będziemy lubić, szanować i wspierać.

Słowa słowami... A muzyka?

Raczej nikogo nie zaskoczę, mówiąc, że takie samo zjawisko zachodzi w tym świecie. Jednak nie chcę poruszać kwestii poznawania nowych gatunków – fanów bluesa poznających rap czy metalowców wchodzących w świat gospelu, ale zadać pytanie: co tak naprawdę oznacza, że muzyka jest dziwna? Kiedy słyszymy utwór i myślimy sobie: „Matko, co to właściwie jest”? Kiedy do naszych uszu

docierają dźwięki, których nigdy byśmy nie spodziewali się usłyszeć. Kiedy przez chwilę krzywimy twarz z obrzydzeniem, jednak po chwili zaczynamy tupać nogą i kiwać głową do rytmu. To, moi drodzy, nie jest dziwność.

To po prostu przełamywanie barier

Gdy w latach 60. The Beatles kładli podwaliny pod dzisiejszą muzykę popularną, wiele osób przewidywało ich rychłe zapomnienie. Gdy Black Sabbath w 1969 dał początek heavy metalowi, krytycy krzywili się z niesmakiem (sam termin heavy metal został użyty po raz pierwszy jako określenie obraźliwe). Gdy Nirvana i zapoczątkowany przez nią grunge zabijał glam metal na początku lat 90., na każdego psychofana przypadał ktoś, kto nie rozumiał tego fenomenu. A jednak dziś wszyscy ci artyści są uznawani za prekursorów, rewolucjonistów, geniuszy. Właśnie dlatego, że nie bali się być dziwni. Nie bali się zrobić kroku naprzód. Nie zawahali się przed zrobieniem czegoś, co nie powinno zadziałać, a jednak odniosło sukces.



Beatlesi XXI wieku

A dlaczego właściwie o tym piszę? Ponieważ dokładnie to samo, co działo się pół wieku temu, dzieje się teraz. Wbrew temu, co mówią samozwańczy krytycy w internecie, w 2020 wciąż istnieją nowi artyści przełamujący bariery muzyczne, niebojący się być dziwni i odrzuceni przez część widowni. Po czym można takich po-



znać? Po hejterach. Pod każdym postem na facebooku dotyczącym Billie Eilish zobaczymy tonę komentarzy o tym jak „ona szepcze, a nie śpiewa”, „kreuje się na depresyjną nastolatkę”, „nie ma talentu” etc. Gdy ktoś wspomni Tima Hensona – jednego z największych wirtuozów i rewolucjonistów gitarowych ostatnich lat – od razu ktoś musi wtrącić, że fajnie, ale Gilmour i Hendrix mieli „feel”, a on nie. Jeśli o mnie chodzi, to jestem prawie pewien, że ci, którzy mają być skazani na zapomnienie, będą żyć w historii muzyki jeszcze przez długi czas. I tak – porównałem właśnie Billie Eilish do Black Sabbath. Deal with it.

Wyróżnij się z tłumu

Dlaczego dziwność jest dobra? Bo oznacza krok w przód. Wyłamywanie się ze schematów, mieszanie gatunków, tworzenie nowych. Nikt nie zaprzeczy, że „Bohemian Rhapsody” jest co najmniej walnięte. A czy genialne? Dziwność oznacza oryginalność. A jeśli muzykę dziwną zastąpimy muzyką oryginalną, to raczej nie będzie już tak źle, prawda?

Bo co tu się oszukiwać? Muzyka oryginalna to najlepsza muzyka.

BARTOSZ KACZMAREK – 2 A

Demoniczny golibroda i paszteciki z ludzi

Podejrzenie blade postacie, zajadające się wypiekami zawierającymi ociupinkę za dużo karaluchów (i doprawionymi krwią ofiar barbera), a to wszystko w scenerii mrocznego, zamglonego i wypełnionego pieśniami Londynu? Brzmi ni mniej, ni więcej, jak kolejny hit kinowy Tima Burtona!

Co, gdzie i jak?

Dzieło przykuwa oko już samym tytułem („Sweeney Todd: Demoniczny Golibroda z Fleet Street”), a sama akcja filmu zaczyna się, gdy podejrzany i ponury jegomość opuszcza pokład statku u brzegów Anglii, po piętnastu latach odbywania kary, z daleka od bram domu. Owa po-

mężczyzną – będzie wspierała jego dążenie do wyrównania rachunków, w zamian za ciała ofiar, które staną się tajemnym składnikiem jej wspaniałych wypieków...

Gdyby to jednak było takie proste! Bohaterowie nawet nie domyślają się, że w rachubę powinni wziąć dodatkowo: pokornego chłopca, który ciężko pracuje dla konkurencji, a który

marzy, w głębi duszy, o prawdziwej rodzinie, piękną dziewczynę, przetrzymywaną przez okrutnego sędziego, tajemniczą staruchę, która hobbyistycznie przeraża przechodniów i młodzieńca, gotowego walczyć o dobro swojej ukochanej...



stać postanawia rozstać się ze swą przeszłością – dawnym nazwiskiem, w całym mieście kojarzonym z talentem barberskim, wspomnieniem o zmarłej ukochanej i starym systemem wartości. Od dnia powrotu, ma tylko jeden cel – dopaść niesprawiedliwego sędziego Turpina, który odpowiedzialny jest za wszystkie jego nieszczęścia, a przy okazji – wymordować wszystkich przedstawicieli płci męskiej Londynu, którzy uchodzą, w jego mniemaniu, za szumowiny i nędzne kreatury, niewarte życia.

Widz równolegle poznaje, wykreowany przez Burtona, świat oczami uroczej Pani Lovett – dawniej sąsiadki głównego bohatera, która trudni się sprzedawaniem swych wypieków londyńskiemu mieszczaństwu. Wciąż jednak skwapliwie podkreśla, że mięso jest drogie, a tragicznie zmarłe zwierzęta najwyraźniej nikomu nie smakują, więc jest gotowa podjąć współpracę z żądnym zemsty

Skąd w ogóle ta koncepcja?

Cóż, choć to Burton jest reżyserem, a jego ówczesna małżonka (Helena Bonham Carter) zagrała jedną z głównych ról, pomysł na fabułę wcale nie należy do ekscentrycznego reżysera! Skąd więc wzięła się ta historia?

Miejska legenda o fryzjerze – mordercy i jego sąsiadce, przemielającej ciała na mięso do pasztecików krążyła po Londynie już od XVIII wieku, a historycy do dziś nie mogą ustalić, ile jest w niej prawdy. Z jednej strony, na pewno nie wzięła się całkiem znikąd, ale że niewielu ludzi w tamtych czasach było piśmiennych, a plotki mają to do siebie, że z czasem prawie w ogóle nie przypominają już prawdy, trudno nam teraz dociec, jak wielka rzeczywistość była skała zbrodni prawdziwego Todda. Wiadomo jednak na pewno, że historia zyskała rozgłos już w 1846 roku, kiedy to została opisana przez Thomasa Pecketta Presta, po czym dostała swoje pięć minut na teatralnych

scenach i w filmach, w tym w adaptacji Burtona.

Dlaczego warto?

Film, z całkowitą pewnością, nie jest dziełem, które przypadnie do gustu każdemu, a wręcz przeciwnie! Jest on tak specyficzny, a przy tym tak często graniczy z absolutnym kiczem, że niejeden widz będzie miał traumę po seansie. Może się wydawać, że nie jest to, wobec tego, najlepszy wybór, ale wiecie co? Przynajmniej jest jakiś, nie zapomnicie go kilka minut po obejrzeniu, ale na zawsze zostanie gdzieś tam z tyłu głowy i sprawi, że pomyślicie dwukrotnie przed wizytą w salonie fryzjerskim.

Od pierwszych scen bardzo ważną rolę w dziele pełni muzyka. Nie dość, że towarzyszy bohaterom na każdym kroku, to jeszcze zmusza ich, by wyśpiewywali lwią część swoich kwestii, zamiast je swobodnie wygłaszać. Szczerze powiem, że jedynie w kilku utwo-



rach wykonanie przypadło mi do gustu, niektóre natomiast wywoływały we mnie wręcz niesmak, jednak sama forma pozwoliła filmowi lepiej wpłynąć na emocje widza, uwypuklić groteskę (zapewne mało kto nazywa swe brzytwy przyjaciółmi i śpiewa im uroczą kołysankę o mordowaniu) i uatrakcyjnić całą akcję.

Czy są tu fani Harry'ego Pottera?

Wracając do groteski, ten tekst kultury na każdym kroku raczej widza niepotrzebnym oraz sztucznym rozlewem krwi, przesadnym (romantycznym wręcz) odreagowaniem uczuć przez bohaterów i ogromem niepotrzebnych śmierci, następujących jedna po drugiej. Poprzez te, nieco kiczowate, zabiegi, reżyser jest w stanie udowodnić odbiorcy, że choć akcja ma miejsce w Londynie, w rzeczywistości jest to całkowicie inny, nieznan nikomu świat, w którym obowiązują diametralnie inne zasady (w tym moralne).

Jeżeli wizja groteskowego musicalu, przepelnionego kiczowatymi wręcz scenami rozlewu krwi i śmierci Was nie przekonuje, to pozostaje mi jeszcze jeden argument – obsada. Pewnie znajdzie się wśród Was jakiś fan Harry'ego Pottera czy słynnego Jacka Sparrowa – i bardzo dobrze! Wobec tego, mogę wam obiecać, że się nie zawiedziecie! W głównych rolach obsadzeni są: Johny Depp, Alan Rickman i wspomniana przeze mnie wcześniej Helena Bonham Carter – jedno wielkie połączenie obydwu kinowych hitów!

Jeszcze parę słów...

Uczciwie uprzedzam, że film jest naprawdę specyficzny (dzięki czemu idealnie wpasowuje się w tematykę numeru) i część, jeśli nie większość z Was, raczej nie nazwie go nowym ulubieńcem. Mimo to warto dać mu szansę, a zwłaszcza teraz – wspaniale przeprowadzi Was przez ponure, listopadowe wieczory, a nawet luźno wpasuje się w halloweenową tematykę. Polecam dać szansę, zwłaszcza jeśli jesteście fanami Capitolowego „Frankensteina”!

EMILIA RYNKIEWICZ – 2 A

Chodząca ryba z Meksyku

Według prastarej legendy pod postacią tego “wodnego potwora” miał się ukrywać aztecki bóg ognia i piorunów Xolotl, który w ten sposób chciał uniknąć niechybnej śmierci z rąk innego bóstwa. Choć sztuczka nie zadziałała, to dzięki temu mitowi aksolotl meksykański zyskał nazwę, pod którą znamy go po dziś dzień.

Czy to naprawdę ryba?

Aksolotl, choć z wyglądu może przypominać dziwną rybę, nie ma nic wspólnego ze swoim przydomkiem i tak naprawdę jest płazem. Jego inne nazwy to ambystoma i salamandra meksykańska. Swoją charakterystyczną budowę zawdzięcza zjawisku neotenu, które polega na tym, że nie przechodzi on nigdy metamorfozy pozwalającej na wykształcenie płuc i wyjście na ląd. Przez to całe życie spędza w wodzie, zachowując cechy kijanki. U tego gatunku ma to związek z wrodzoną wadą i niską funkcjonalnością tarczycy.

Wygląd

Przez zachowanie cech kijanki postać aksolotla przypomina rybę z drobnymi nóżkami. Ten osobliwy płaz charakteryzuje się trzema parami zewnętrznych skrzel, które z wyglądu przypominają parę nieporęcznych skrzydeł i idącą od tyłu głowy płetwą ogonową. Osiąga on 15 do 45 centymetrów długości.

W środowisku naturalnym ma ubarwienie ciemne, masyjne, przypominające obrosnięty mchem kamień. Może również być przyozdobiony w złote plamki. W warunkach hodowlanych najczęściej posiada barwy albinotyczne; jest różowy, złoty, szary lub czarny, a hodowcy poprzez krzyżówki osiągają przeróżne wariacje kolorów.

Aksolotl ma również pewną ograniczoną możliwość zmiany koloru dla lepszego kamuflażu.

Zwyczaje

Aksolotl jest drapieżnikiem, który prowadzi nocny tryb życia. Odżywia się małymi zwierzętami wodnymi, takimi jak: robaki, insekty i małe ryby. Może być również kanibalem, dlatego w grupie atakuje czasem inne osobniki i odgryza im końcówki płetwy ogonowej lub kończyny. Swoje ofiary lokalizuje za pomocą węchu, a potencjalny pokarm łapie otworem gębowym i zasysa go do żołądka, gdyż jego zęby nie są dostatecznie rozwinięte. W naturze aksolotl żyje około 10 -12 lat.



Niezwykłe zdolności

Aksolotl nie bez powodu jest cenionym zwierzęciem laboratoryjnym. Wykonuje się na nim badania z zakresu transplantacji, endokrynologii i genetyki.

Jego najbardziej przyciągającą uwagę zdolnością jest możliwość regeneracji. Aksolotl nie zabliźnia ran, lecz odtwarza całą tkankę, kończynę, skrzel, system nerwowy, a nawet fragmenty oka, mózgu czy

serca. Okres regeneracji trwa do kilku miesięcy. Czasem na miejsce jednej utraconej nogi potrafią urosnąć dwie, całkowicie funkcjonalne.



Płaz ten jest również w stanie bez problemu przyjąć przeszczep od innego osobnika i przywrócić obcym sobie organom całkowitą funkcjonalność. U osobników, u których sztucznie wywołano metamorfozę w pełni dorosłą salamandrę, zdolności te były znacznie ograniczone.

Aksolotl jest również używany w badaniach wad serca, ponieważ jego zarodki mają wyraźną niewydolność tego organu i przeżywają prawie do wyklucia z jego aktywnością zerową.



Zagrożenia

W środowisku naturalnym aksolotl występuje jedynie w jeziorze Xochimilco, znajdującym się w stolicy Meksy-

ku i otaczających go kanałach. Wcześniej zamieszkiwał również sąsiednie jezioro Chalco, ale zostało ono sztucznie osuszone przez człowieka. Na zmniejszenie się jego populacji znaczny wpływ ma rozwój miasta Meksyk, a także wprowadzenie do wód jeziora obcych gatunków ryb, które zjadają młode aksolotla i ich podstawowe źródło pożywienia.

Podczas badań w 1998, 2003 i 2008 roku znaleziono kolejno sześć tysięcy, tysięcy i sto osobników na kilometr kwadratowy jeziora. W 2013 roku, podczas czteromiesięcznych badań, nie znaleziono na wolności ani jednego osobnika. Na szczęście, miesiąc później, zauważono dwa w kanałach prowadzących z Xochimilco i powróciła szansa na odbudowę gatunku.

Ochrona

Gatunek *Ambystoma mexicanum* znajduje się w Czerwonej Księdze Gatunków Zagrożonych i klasyfikowany jest jako krytycznie zagrożony o najwyższej kategorii ryzyka. Jest również objęty ochroną rządu Meksyku i kontrolą Konwencji o Międzynarodowym Handlu Dzikimi Zwierzętami i Roślinami Gatunków Zagrożonych Wyginieciem.

Praktyczne działania polegają na prowadzeniu edukacji dotyczącej znaczenia jeziora Xochimilco. Podejmowane są również inicjatywy mające na celu przywrócenie naturalnych siedlisk płaza i budowę schronień dla niego.

Aksolotl jest również maskotką Ekologicznego Parku mieszczącego się w dzielnicy Xochimilco, obejmującego kanały, które zamieszkuje ten osobliwy zwierzak.

Dawniej, już od czasów Azteków, płaz ten odławiany był do celów spożywczych i sprzedawany na targach; dziś handel nim jest prawnie zabroniony.

Choć aksolotl jest popularnym zwierzęciem laboratoryjnym i domowym i mogłoby wydawać się, że jego populację można przywrócić do naturalnego środowiska z osobników wyhodowanych w sztucznych warunkach, nie jest to wskazane. Osobniki te są bowiem zagrożeniem przenoszenia chorób, w tym genetycznych, co na dłuższą metę byłoby jeszcze większym zagrożeniem dla gatunku.

ALICJA KOŹLIK – 2 B

**„POLITECHNIK JUNIOR”
PERIODYK AKADEMICKIEGO LICEUM
OGÓLNOKSZTAŁCĄCEGO
POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ**

Redaktor naczelny: Maksymilian Skica.

Zastępca red. naczelnego: Małgorzata Wieczorkiewicz.

Redaktorzy: Alicja Ćwir, Bartosz Kaczmarek, Alicja Koźlik,
Nadine Pfluger, Emilia Rynkiewicz, Daniel Witkowski.

Technicy komputerowi: Michał Jagodziński,
Kamil Janowski, Jeremiasz Wieleba.

Opiekun pisma: Wojciech Walczak.